

## **Stało się z nami coś naprawdę niedobrego**

Żadne państwo, żadne społeczeństwo czy wspólnota nie są zdolne przetrwać, jeżeli nie istnieje nic nadrzędnego, co łączyłoby ludzi, wychodząc poza ich partykularne, grupowe interesy. W przeciwnym razie liczy się tylko interes grupy, partii, lobby, który zostaje narzucony innym siłą – pisze Marek A. Cichocki w felietonie na łamach „Rzeczpospolitej”.

Istnieje pewne ważne pojęcie ze starej, dobrej filozofii politycznej, które wyszło dzisiaj całkowicie z użycia – dobro wspólne.

Najwyraźniej uznano, że jest ono wyrazem niepraktycznego idealizmu i nie przystaje do współczesnej, profesjonalnej polityki. Przede wszystkim nie odzwierciedla tego, czego ludzie naprawdę oczekują od władzy. Kiedy jednak spojrzeć na polską politykę, ale i szerzej na politykę w Europie, można odnieść wrażenie, że nic bardziej mylnego niż ów lekceważący stosunek do starych filozoficznych recept. Okazuje się, że nie ma być może bardziej praktycznego rozwiązania naszych problemów niż właśnie dawna, poczciwa idea dobra wspólnego.

Z grubsza rzecz biorąc, chodzi o to, że żadne państwo, żadne społeczeństwo czy wspólnota nie są zdolne przetrwać, jeżeli nie istnieje nic nadrzędnego, co łączyłoby ludzi, wychodząc poza ich partykularne, grupowe interesy. W przeciwnym razie liczy się tylko interes grupy,

partii, lobby, który zostaje narzucony innym siłą. W takiej polityce silniejszy ma wszystko kosztem tych, którzy są w danym momencie słabsi.

*Bardziej nienawidzimy  
swojego politycznego  
przeciwnika niż troszczymy  
się o własną ojczyznę*

Taki stan  
wewnętrznej wojny  
zniszczy każde  
państwo i każdą  
strukturę. Wiedział o  
tym doskonale  
Arystoteles i nie ma

żadnego powodu, aby uznać, że był od nas głupszy. Stworzyliśmy świat, w którym polityk jednej partii nie może opublikować wspólnego zdjęcia z politykiem partii przeciwnej bez narażenia się na oburzenie i wrogość. Ten drobny przykład jak wiele innych – nieprzystojne gesty czy wykrzykiwane obelgi – to tylko symptom pewnej choroby, która może także przybrać poważniejszą formę konkretnego planu, jak wtedy, gdy prezydenci największych miast, czynni aktorzy politycznego sporu, proponują, by UE przekierowała środki z unijnych funduszy na rzecz tylko jednej części obywateli, tych, którzy na nich głosują, nazywając ich „prawdziwymi wyspami demokracji”.

Można więc odnieść wrażenie, że coś naprawdę niedobrego stało się z nami i bardziej nienawidzimy swojego politycznego przeciwnika niż troszczymy się o własną ojczyznę. Polska zmieniła się i będzie już inna. Ale czy to znaczy, że będziemy żyli podzieleni na dwa narody mówiące jednym językiem i żyjące w jednym państwie?

*Autor jest profesorem Collegium Civitas*

Felieton ukazał się w dzienniku „Rzeczpospolita”